Nro 1.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 1 stycznia 1848. **Rok dziewiąty.**

Wychodzi co sobota regularnie. Przedpłata we Lwowie rocznie 10 zr. półrocznie 5 zr. kwartalnie 2 zr. 30 kr. m. k. Bez rycin rocznie 4 zr. półrocznie 2 zr. kwartalnie 1 zr. m. k. Na prowincii chcący odbierać pocztą dołączają do cen powyzszych za przesyłkę pocztową rocznie 1 zr. 36 kr. półrocznie 48 kr. kwartalnie 24 kr. Z prowincii można nadsyłać pocztą należytośc prenumeraty pod adresem redakcii Nr. 301 we Lwowie, w którymło jedynie razie redakcia ręczy za regularną przesyłkę numerów w opieczętowanych kopertach. W królestwie polskiem i Rosii prenumerata składa się na pocztach.

Mody.

Z Paryża, dnia 19 Grudnia 1847.

Stroje damskie. Najmodniejsze całkowite stroje od wyjścia są: Suknia z niebieskiej materii, stanik gładki, wysoko zachodzący, o trzech szwach; rękawy gładkie; mantylka axamitna czarna, zaokrąglona od tyłu, na ramionach wycięta i ozdobiona koronką w trzy rzędy. Suknia z atłasu różowego, spodnica gładka, stanik gładki, zachodzący wysoko na ramiona a z przodu otwarty; rękawy otwarte i zaokrąglone u dołu, półrękawki muszlinowe, podkładka muszlinowa marszczona. Suknia z atłasu zielonego, spodnica gładka, stanik otwarty, ubrany wstążką atłasową, ułożoną w grube fałdy, rękawy gładkie, półotwarte, ubrane jak stanik, podkładka do stanika i rękawki muszlinowe. Suknia axamitna czarna, spodnica gładka, stanik gładki, wycięty i kończasty; koronkowa podwójna berta, spięta z przodu różowemi axamitnemi fontaziami; wieniec z kwiatów na głowie.

S t r ó j b a l o w y. Suknia z popielatej mory, z spodnicą gładką, stanikiem gładkim, wyciętym i kończastym, berta koronkowa podwójna, rękawy niżej łokcia i garnirowane wstążką w rurki; mankietki cztery razy koronką obszyte, spadające na rękę; mały czypeczek koronkowy z szarfami spadającemi na ramiona, z boku pod koronką podpięty różą.

Stroje męskie. Paletoty noszą bez szwu przez środek stanu. Kamizelki długie napoleońskie.

Nowym strojem męskim jest płaszcz zwany Saavedra. Nazwę tę wzięto od nazwiska familijnego sławnego autora Don Kiszota. Michał Cervantes Saavedra pierwszy, najoryginalniejszy romansopisarz hiszpański szesnastego wieku, nosił mały płaszczyk w guście francuskim owego wieku. Płaszczyk ten przydłużony, z wyłożonym kołnierzem (w owej bowiem epoce kołnierz noszono stojący) i z zastosowaniem typu oryginalnego do teraźniejszej mody, staje się dzisiaj najulubieńszą suknią wierzchnią dla mężczyzn.

R y c i n a p r z e d s t a w i a: Suknią hiszpańską; włosy w pukle a z boku mały fontaż andaluzijski z koronki czarnej i wstążki atłasowej; stanik u sukni wysoki, ubranie z koronek spadające coraz węziej niżej stanu. Rękawki bardzo krótkie, obszyte koronkami i spięte fontaziem z wstążki; spodnica obszyta z dwóch stron dwoma rzędami koronek, które trzy razy spięte są wstążką z fontaziami podwójnemi w kształcie **V**.

Suknia z zielonej materii, stanik o trzech szwach, zachodzący wysoko pod szyję, z podwójną bertą, obszytą krepinami w zęby, spięty paskiem; rękawy długie, obcisłe, podobnie jak berta obszyte. Czypeczek mały koronkowy z krótkiemi szarfami, podpięty fontaziem ponsowym.

Ubiór męski balowy. Frak czarny, u którego stan nieco krótszy jak w roku zeszłym noszono, i zdaje się, że stany krótsze znowu na lat kilka przyjdą w modę. Kołnierz i wyłogi wąskie, frak z przodu na trzy guziki zapięty, albo gdy odpięty, formuje szerokie wyłożenie na piersiach. Poły są znacznie wycięte i w przodzie zaokrąglone, przezco cały prawie przód pantalonów i dół kamizelki odkryte. Spodnie miernie obcisłe i z przodu u trzewika krótsze.

Na dołączonym arkuszu następujące znajdują się formy i wzory. 1) Kania od strojnego kapelusza. 2) Kania od półstrojnego kapelusza. 3) Fartuszek od kapelusza. 4)5) Denko i czółko od czapeczki. 6)7) Wzorki na chustkę. 8) Dziergany obrąbek od chustki. 9) Kołnierzyk haftowany w sposobie koronki. 10) Kołnierzyk haftowany atłaskiem i szydełkiem. 11) Kołnierzyk haftowany atłaskiem. 12) Girlanda do haftu atłaskiem i szy-

dełkiem. 13)14) Znaki na chustkę. Na stronie odwrotnej: 15) Przodek od płaszczyka. 16) Plecki od płaszczyka. 17) Rękaw. 18) Przodki od sukni. 19) Plecki od sukni. Sposób, w jaki z form tych wyprowadza się formy nnturalnej wielkośći niebawem w osobnej xiążeczce wyłożony otrzymają prénumeratorowie dziennika. Tu tylko dodamy, że wyrachowanie form tych jest wedle miary francnskiej centymetrowej. Sześćdziesiąta część łokcia polskiego stanowi mniej więcej centymetr francuski czyli łokieć ma sześćdziesiąt centymetrów. Wszystkie zaś odległości wymierzane są centymetrami od punktu oznaczonego na rysunku zerem. Suknia, której formy tu załączone, wyszła z pracowni paryskiej pani Mercier. Zapina się na boku w kierunku ukośnym od końca ku ramionom, jak to na formie dwie linie równolegle pociągnięto. Miejsce zapięcia przykrywa się ubraniem z tejże samej co suknia materii lub krepinami. Podobnież ubiera się i druga połowa przodka.

Rysunki zmniejszone na dziesiątą część naturalnej wielkości do następującego numeru dołączone będą.

SZPICRUT HONOROWY.

Obrazek z życia przez Józefa Dzierzkowskiego.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Krzywda.

Byłoto w lecie i byłoto w maju, w tym najpiękniejszym miesiącu pączków i nadziei, gdy wszystko w przyrodzie budzi się do życia, a tchnieniem wiosny wczarowane, najcudniejsze dźwięczą nuty leśnych śpiewaków, najmilszą woń ronią kwiaty; a ludzie wysyłają w błękit nieba, w mglistą przyszłość najbarwniejsze swe marzenia.. Bo wiosna jest poezią roku, a maj jest poezią wiosny.

Śliczny był poranek świeży i wonny, gdy na drodze wiodącej przez gaje i ostrowy, błyszczące jeszcze rosowemi perłami, spuszczał się z lekkiego pagórka w dolinę bohatyr naszego obrazku pan Kazimirz Bilczyński. Jechał na koniu kucym, zwyczajnym, w którym darmoby szukać pewnej jakiejś rasy, ale była dzielność żywa i młoda. Szybkim pędem konia przeleciał pan Kazimierz dwie mile drogi, i zatrzymał dopiero wierzchowca swojego gdy stanął w pół pagórka, zkąd dwie rozchodziły się wiejskie drożyny; jedna prowadziła wprost ku wiosce w dolinie rozłożonej, druga szła na prawo pomiędzy drobne krzaki ku ulicy topolowej, wiodącej do białego dworu, który na wyniosłym pagórku wśród drzew ogrodowych stercząc, poglądał dumnie na wieś i okolicę całą. Konik pana Kazimierza nie zdawał się rozumieć wątpliwości jezdca swego, i już się był zwrócił prosto ku wsi, gdy nagle wstrzymany przez jezdca, wyciągnął szyję ku dobrze znanej sobie osadzie wiejskiej, i na wątpliwą myśl pana odpowiedział wesołem i przeciągłem rzeniem Pan Kazimirz przytrzymał go jednakże, i pogłaskawszy po szyi wiernego towarzysza swych częstych wycieczek jakie robił do Krzewiniec, spojrzał zamyślonym wzrokiem, w którym się nieco smutku przebijało, w dół ku wsi. Ze środka skromnych i ubogich chatek wiejskich, z pomiędzy odwiecznych lip, zabłysnął mu słońcem ozłocony krzyż wiejskiej cerkiewki, ku któremu piął się w górę dym wychodzący z przytaczającego o cerkiew dworku. I uśmiech zajaśniał na młodej twarzy pana Kazimirza, i uśmiech ten i wzrok rozczulony poleciały przez czyste i wonne powietrze tam na dół, ku wsi do dobrze mu znanej zagrody; a wnet też za niemi pomknęło i lekkie młodzieńca westchnienie. Bo przypomniał sobie w tej chwili, że te odwidziny jego dzisiejsze w Krzewińcach, miały być ostatnie; on jechał bowiem pożegnać i to na czas nieograniczony, poczciwych przyjacioł swoich i kogoś droższego jeszcze. I zadumał się młodzieniec, chociaż twarz jego młoda, czerstwa, żadną zda się głębszą myślą nie poorana, do ludzkiej i rubasznej wesołości przywykła, niezgrabnie trochę odbijała od tego nieczęstego na niej gościa. Pan Kazimirz rzadko marzył kiedy; wychowany na wsi, w skromnym bardzo dworku szlacheckim, przez ojca i matkę, prostych i poczciwych dzierżawców małego przysiołka, kilkanaście ledwie dymów liczącego, niewiele miał czasu oddawać się myśli, tego wedle okoliczności, anioła lub szatana, dodanego człowiekowi w wieczne towarzystwo. Bo niech jeno ta myśl głębsza zagości ci w głowie, już się jej nie pozbędziesz, ni hulanką u sąsiada, ni polowaniem w kniei; ona ci życie codzienne odczaruje od wszystkich powabów, jakie ma to życie dla ludzi prostych, ale jest za to zdolna wyczarować cały świat nowy uroczy, po którym brodzisz bez końca, jakby po owych dziewiczych, siekierą nietkniętych lasach Ameryki. Pan Kazimirz był dobry i poczciwy chłopiec, który małoco znał nad Wulkę, w której się urodził, czytać i pisać nauczył, i Krzewińce, w których czuć się nauczył. Kto zna nasze wiejskie wychowanie u niezamożnego szlachcica polskiego, nie będzie potrzebował długich opisów, i pozna od razu całe usposobienie naszego bohatyra. Wychowanie to bywa zwykle przypadkowe, urwane, przeplatane zabawą, na koniu, u sąsiada lub w kniei, zaję-

ciami gospodarskiemi, w których syn ojca wyręczyć musi; żadnej w niem niema pewnej posady, ani też celu niema. Toteż co przypadek zaczął, to przypadek kończy zwykle, i z wychowanego w ten sposób młodzieńca, wyrabia człowieka lepszego lub gorszego. Pan Kazimirz przebył to całe przypadkowe wychowanie i dzięki poczciwym naukom a więcej jeszcze przykładom rodziców, był dobrym, otwartym i poczciwym chłopakiem. Ale jak nie było pewnych zasad w wychowaniu jego, tak też i w usposobieniu jego nie było pewnej, trwałej posady. Jedynem jego zajęciem było gospodarstwo i to te gospodarstwo dawne, rutynowe, jedyną rozrywką polowanie, a jedyną namiętnością był mu koń! Poczciwy ojciec pana Kazimirza póki żył, sam mu ciągle powtarzał, że dla nas przystoi jeno męskie wychowanie, hartujące ciało przyzwyczajeniem do wszelkich niewygód. Jest w tem wielka prawda; prawda rzecby można historyczna, którą szlachta nasza po wsiach instynktem zda się, rozumie, ale niestety! nic przy tem nie rozumuje, a że mało i pobieżnie czyta, więc tej prostej a przecie równie nas historycznej prawdy pojąć nie zdoła, że niemniej nam potrzebny hart duszy, którego brak krwawemi tylekroć opłakiwaliśmy łzami.

Owoż gdy po śmierci ojca nasz Kazimirz sam został z matką i wyszedł na dzierżawcę Wulki, kupił sobie wierzchowego konia. Skromny to był bo tani wierzchowiec, ale zawsze wierzchowiec, na którym nasz bohatyr uganiał po polach i górach, z chartem i bez charta, czy potrzeba czy nie potrzeba, w lato czy w zimę. A że pan Kazimirz był ładny, silny i barczysty chłop, siedział tęgo na koniu, z wierzbowym pręcikiem w ręku, którym leniwego czasem konika okładał bez litości uganiał wichrem, przeskakiwał rowy i płoty, lubiono go, chwalono i psuto trochę w okolicy. Po małych jarmareczkach w okolicy był on główną osobą; częstowany sowicie częstował nawzajem, co oczywiście, jak to bywa u nas, podobało mu się dosyć, nąginało się ku nawyczce i przyzwyczajało do próżnowania i zbytkowych pokus, tych dwóch grzechów pierworodnych naszej bogatszej i uboższej szlachty. Przebiegnij mniejsze nasze miasteczka, a przestraszysz się, zobaczywszy, ile tam daremnego czasu natracą młodzi dzierżawcy, urzędnicy prywatni, ba nawet i dziedzice mniejsi — przy kieliszku i fajeczce; a ile więcej natracą grosza, którego ubytek i rzadkość zwiększa jeszcze kredyt małomiasteczkowy, podwójną kredką zapisujący zdybania się sąsiadów w miasteczku.

Wszystkie te wady były w panu Kazimirzu lekko nacieniowane jeszcze. Bo przeważała w nim dotąd poczciwość serca. Dobrać to zaiste zaleta i godzi się ją cenić i szacować, lecz krucha to podpora w tak częstych u nas burzach życia, w których tyle poprzepadało serc poczciwych bez wieści i pożytku, ba nawet ze szkodą dla nich samych i dla ogółu. I darmo szukać tej winy w naszym charakterze narodowym, jak to z lnbością i wymownie twierdzą ludzie o płytkich głowach, i złych dla nas chęciach, którzy tym zarzutem mniemają zrzucić wszelką odpowiedzialność za swe krzywe zdania i więcej jeszcze krzywe drogi. Nie tam szukać winy trzeba, ale w zupełnem zaniedbaniu wychowania, mianowicie domowego, po naszych dworach i dworkach szlacheckich. Trzeba raz wyrzec się szczerze wszelkich przesądów panujących po tych dworach, a mamy ich tam niemało, a między niemi najszkodliwszy, że trochę majątku, trochę francuzczyzny i trochę herbu szlacheckiego, rozpuszczone w salonowej ogładzie dla wyższych, a w rubasznej tęgości dla niższych, wystarczy jakoś w życiu. O! błąd to i wielki błąd moi panowie.... nie jest to recepta na człowieka, ale na istnego durnia! A jużci przyznacie mi panowie, że w naszych czasach, a mianowicie w naszych okolicznościach, hańba, a co gorzej występek jest wielki być durniem niepożytecznym.

Wracając z tego epizodycznego wybryku, za który wielce przepraszam czytelników moich, dodam jeszcze do obrazu naszego bohatyra, że największem jego szczęściem była miłość dobrej i poczciwej dziewczyny z sąsiedztwa, do której przywiązawszy się serdecznie, zaczął mniej hulać, a więcej siedzieć u lubej, która przez przypadek także, bo dobre wychowanie jest u nas zwykle przypadkiem tylko, posiadała więcej wiadomości od niego; a namiętnie przywiązana do ojczystej ziemi i do ojczystej literatury, kochając go szczerze i namiętnie, oddawała mu z całem poświęceniem kobietom właściwem wszystko swoje — i z serca i z głowy. Lecz pan Kazimirz choć kochał szczerze, niemniej przeto musiał ulegać okolicznościom, silniejszym nieraz od naszych najsilniejszych zamiarów.

Miał on stryja, który był kanonikiem w stolicy. Był to stary człowiek, o którego majątku i kapitałach bajeczne rozpowiadano rzeczy. Nagle czując się coraz starszym i słabszym, zapragnął rodzinnych uczuć i napisał do synowca, by przyjechał do niego na pomieszkanie Kazimirz mimo całej pokusy, jaką mu w ucho szeptał szatan zbytku, rozpowiadając o stryjowskich dukatach, byłby może nie porzucał ukochanej swej Marii, z którą po trzech latach najczulszej miłości wzajemnej w jesieni miał się żenić; ale matka dobra ale ograniczona kobieta, wierząca ślepo w złoto, wymogła na nim, żeby

*

wyjechał do stryja, który zapewne nie będzie się sprzeciwiał związkowi synowca z ukochaną Marią; a zresztą choćby nawet wypadło ślub odłożyć na czas nieograniczony, cóż to jest w porównaniu z spodziewaną po stryju spuścizną. Tak rozumowała matka Kazimirza, i niby to kochała go serdecznie. Cóż dziwnego, wszak i my tak zwykle rozumujemy wszyscy; i chwile upragnionego szczęścia odkładamy niebaczni i lekkomyślni, jakby szczęście w życiu było stałe i niezmienne. A tymczasem chwila przemknie i już nie wróci więcej; i darmo zatęsknisz potem za nią. Dziś nie wróci, coś wczoraj odłożył.

I dziś właśnie miało nastąpić to smutne z kochanką pożegnanie. Lecz dla czegoż nagła napadła go wątpliwość przy tej drodze rozstajnej. Bo niestety! pan Kazimirz chociaż bohatyr mojego obrazku, jak wszyscy inni bohatyrowie większych, bo dziejowych powieści, nie był bez niektórych słabości. Był on potrosze próżny! I trudnoby mi przyszło wykazać, czy ta próżność jego była skutkiem owych pochwał, jakiemi schlebiano jego pięknej twarzyczcze; czy też on ją odziedziczył jako grzech pierworodny stanu, do którego należał, do którego smutnego grzechu przyłożyła się zapewne najwięcej poczciwa matka, która nigdy nie zapominała, że rodowitym jej herbem była p a n n a n a n i e d ź w i e d z i u. Dosyć że gdy dojechał do rozstajnej drogi, wydało mu się koniecznością wstąpić do dworu, w którym mieszkała rodzina hrabiów Gniazdowskich; bo już ciż wyjeżdżając z okolicy, w której ta rodzina jako najzamożniejsza i najdumniejsza, grała rolę najznakomitszą' godziło się ją pożegnać także, i podziękować za łaskawe względy, z jakiemi ród Gniazdowskich przyjmywał rzadkie ale pełne submisii odwiedziny pana Kazimirza Bilczyńskiego, trzymającego u nich w dzierżawie ów mały folwarczek, W u l k a zwany, niknący również na mapie dóbr hrabiego Artura Gniazdowskiego, jak nasz bohatyr niknął zwykle w salonie pałacu w Krzewińcach. Bo pchać się do klamki pańskiej, jestto narów drobniejszej szlachty u nas, z którego nic ją dotąd całkiem wyleczyć nie zdołało, ani postęp oświaty, ani też ważniejsze nad wszystko doświadczenie.

Jakie zaś to były łaskawe względy, które pana Kazimirza spowodowały do tej wycieczki w bok ku ulicy topolowej, wnet się dowiemy; ruszajmy jeno za nim. Nadaremnie koń praktyczniejszy od pana, ciągnął się w dół ku skromniejszemu księdza dworkowi, wiedząc zapewne z doświadczenia, że w stajniach hrabiowskich prócz zaszczytu bycia przywiązanym do murowanego słupa, rzetelniejsze przyjęcie owsem nie nastąpi. Pan Kazimirz uparty jak na potomka butnej szlachty przystały, dążył ku pałacowi i tem tylko w tej chwili dawał dowód oczywistej swej miłości do Marijki, że najprzód chciał odbyć niewielce miłe odwiedziny, by już potem resztę dnia przepędzić w lubem kochanki towarzystwie. I gdyż już właśnie dojeżdżał do bramy pałacowej, z której szczytu dumnie spoglądała tarcza herbowna, w hrabiowskie perły ozdobiona, z przeciwnej strony dojeżdżał do niej inny jeździec na koniu wysokim, którego długie nogi, długa szyja i nieco wklęsłe boki swiadczyły o tej rasie angielskiej, w które j tak się pokochaliśmy od niedawna, że mając w domu zawód najdzielniejszy koni ojczystych, któremu pozwalamy iść w poniewierkę i przepadać nawet, wysyłamy za morze ciągle nasze pieniądze za angielskiemi końmi, angielskiemi trenerami, żokejami i angielskiemi zwyczajawi. Na tym wyniosłym koniu, przy którym wierzchowiec mały naszego bohatyra prawdziwym wyglądał kucykiem, siedział młody także człowiek, błyszczący cały, bo błyszczały na nim i złote okulary i bronzowe guziki na rajtroku, i złoty łańcuszek od zegarka, a mianowicie w ręce z ozłoconemi i obrylantowanemi palcami błyszczał najbardziej szpicrut misternej roboty, cały w złotych rzeźbach, ze złotym konikiem na rękojeści. I w chwili, gdy obaj jezdcy dojeżdżali do bramy, w znak poufałego powitania, hrabia Alfred Gniazdowski, syn hrabiego Artura, uderzył naszego bohatyra złocistym szpicrutem, niby z nienacka, ale tak silnie po grzbiecie, że aż ten rzucił się na koniu i obrócił gniewem rozpaloną twarz swoją ku błyszczącemu jezdcowi. I przez chwilę zawrzało na twarzy pana Kazimierza oburzenie tak silne, iż na widok jego, woskowa twarz pana hrabiego pobladła więcej jeszcze. I kto wie coby się stało, gdyby nie to przyzwyczajenie do uległości panom, naszej szlachcie tak dalece właściwe, że byle z nimi zachować stosunki tak im przydatne jak umarłemu kadzidło, dadzą chętnie stroić z siebie najnieprzyzwoitsze żarty.

A że żartem oczywistem było to szpicrutowe uderzenie, jakkolwiek go dobrze bolało, najlepiej dowodził uśmiech słodziutki na twarzy hrabiego Alfreda.

— „Ledwiem cię dogonił!.... jak się masz, mój ty błędny rycerzu, który tak zamarzyłeś głęboko, żeś nawet nie słyszał mojego wołania.«

— „Pan hrabia wołał mnie?“ odpowiedział nasz bohatyr udobruchany nieco tą pańską poufałością.

— „Wołałem, i jak wołałem“ odrzekł młody hrabia z uśmiechem jeszcze słodszym i weselszym, boto panów niepospolicie bawi, gdy takiego szlachetkę mogą na durnia wystrychnąć. „A widząc, że ty zakochany rycerzu straciłeś nietylko oczy, jak to bywa zwyczajnie, ale nawet i uszy, dotknąłem cię szpicrutem moim, by cię

przecie obudzić.... a jeżeli w pędzie konia dotknięcie moje było za mocne, przepraszam cię nawet.“

— „Pan hrabia za... nadto łaskawy“ pomyślał, ale nie odpowiedział przecie nasz bohatyr udobruchany zupełnie hrabiowskiem przeproszeniem.

— „A do tego żebyś wiedział, że dotknięcie tego szpicruta, to jakby one dotkięcie szablą przy pasowaniu na rycerza“ mówił dalej Artur z kpiącą powagą „jestto bowiem szpicrut honorowy.“

— Szpicrut honorowy?“ zapytał Kazimirz głosem i całą zdziwioną twarzą; a mimowolnie rzuciwszy oczy na swój własny pręcik, ułamany z wierzby przy wyjeździe z domu, zapłonił się i puścił na ziemię tego niegodnego szpicrutów błyszczących zastępcę.

— „To ty nie wiesz co to szpicrut honorowy? o ty biedny wieśniaku!“

I śmiejąc się zeskoczył pan Artur z konia, bo już byli przed olbrzymim gankiem z monumentalnemi schodami, któryto właśnie miał dworowi staremu i dosyć niezgrabnemu nadawać postawę pałacową. A trzeba wiedzieć, co zresztą hrabia Alfred wszystkim przy zdarzonej i bez zdarzonej sposobności rozpowiadał, że i ganek, i słupy gankowe, i owe schody olbrzymie, były ścisłem naśladowaniem faciaty pałacowej w Puławach.

— „Ale cóż dziwnego?“ mówił dalej kpiącym tonem młody panicz „zakochani nic nie wiedzą zwykle, a cóż dopiero, jeżeli ich opętają takie oczy, jakie posiada córka naszego.... dobrodzieja..., którego nie śmiém nazwać popem, by cię nie rozgniewać“

— „Pan hrabia!.... panie hrabio!“ mruczał nasz bohatyr zmieszany do reszty, okładając go co chwila ukłonami i powtarzaniem tego tytułu, chociaż doń młody hrabia przemawiał ciągle poufałym ty.

— „Idź tymczasem do salonu, ja zaraz tam przyjdę skoro się trochę przebiorę, by się pozbyć tego końskiego zapachu, który atakuje nerwy mojej matki... i ty przywoziłbyś z sobą inny ubiór, bo fatalnie śmierdzisz koniem.... ale cóż robić? z wami demokratami, trzeba być ostrożnym i pobłażliwym bardzo, bo wy nie pozwalacie nawet, byśmy mieli słabe nerwy... A jak przyjdę do salonu, to ci wytłomaczę, co to jest szpicrut honorowy“

Nasz bohatyr postawszy chwilę w przedpokoju w stanie zagapienia, którego się wstydził, które przeklinał i na które się gniewał, ale znosił przecie i szukał go z własnej woli, byle tylko mógł powiedzieć na zjazdach okolicznej szlachty, że był tam kiedyś w Krzewińcach u hrabiego Gniazdowskiego — wszedł wreszcie do salonu.

(*Ciąg dalszy nastąpi.*)

Z obrazów Frejligratha.

WIDZENIE PODRÓŻNEGO.

Nocą śród libijskiej puszczy
Na piaskowej ległem fali,
A przy odkiełznanych koniach
Moi Beduini spali.
W dali, światłem księżycowem
Gór nilowych lśniły grzbiety,
A na wydmach dromedarów
Białe świeciły szkielety.

I bezsenny pod skroń kładę
Lekkie siodło miast pościeli,
A pod siodło pełny worek
Suchych owoców dakteli;
Długi kaftan miast namiotu
Pierś i nogi me okrywa,
Przy mnie leży spisa moja,
Janczarka i szabla krzywa.

Jak tu cicho! — tylko czasem
Ognisko rozpryśnie żarem,
Tylko czasem sęp zbłąkany
Chrypiąc szumi skrzydłem karem,
Tylko czasem koń upięty
We śnie uderzy kopytem,
Tylko czasem Arab śniący
Rzuci ręką za dzirytem.

A wtem nagle drgnęła ziemia
Cienie blask księżyca mroczą,
Przestraszony źwierz pustyni
Chyłkiem pomyka uboczą,
Z parskiem konie się spinają,
Nasz wódz mknął do atagana,
Nóż wypuścił — i drżąc szepnął:
„Ha! to duchów karawana!“

Już nadchodzi! przy wielbłądach
Widma poganiaczy bieżą,
Odsłonione odaliski
Na kulbakach miękko leżą.
Tuż dziewczęta dzbany niosą,
Na kształt biblijnej Rebekki,
A za niemi jezdcy spieszą
I z szumem pędzą de Mekki.

Coraz więcej! — któż ich zliczy?
Więcej! — gdzież jest koniec czarów?
Patrzcie! rozrzucone kości
Znów się mienią w dromedarów.
Szary piasek co wirując
Kłębem podniósł się na drodze,
Znów się zrasta w szarych ludzi
Co wielbłądom dzierżą wodze.

Ta to jest noc w której tłumy
Wędrowników zagrzebionych,
Których miecone popioły
Lepiły nam do ust spragnionych,
Których czaszki gruchotały
Podkowy naszych rumaków,
Wraz podnoszą się gromadnie
By mekkańskich szukać szlaków.

Patrzcie! jeszcze kurz nie osiadł
Za ostatnim ich szeregiem,

A już inni nadlatują
Wypuszczonym na wiatr biegiem.
Od przylądku zielonego
Do Babelmandeb cieśniny
Przeszumieli! nim mój rumak
Pęta pozrzucał z pęciny.
Wytrzymajcie! — rwą się konie!
Każdy do swojego siodła! —
Niech was jak lew trzodę owiec
Nie rozprasza bojaźń podła.
Choć was oni dotykają
Rozwianemi talarami,
Krzyczcie: Ałłach! — a spokojnie
Przeciągną wszyscy przed wami.
Stójcie, gdy piórem turbanów
Zafurczy ranne powietrze,
Ranny powiew, światło ranne
Znowu ich na popioł zetrze,
Ze dniem znów ci nocni jezdcy
Zatoną w piasek czerwony,
Patrzcie! świt, świt! już go rżeniem
Wita koń mój ośmielony.

Kornel Ujejski.

NOWSZE POWIEŚCI POLSKIE.

Ostap Bondarczuk, powieść J. J. Kraszewskiego. W Wilnie 1847. Tom I. Zawód pisarski Kraszewskiego dziwne przedstawia koleje. Podczas gdy zwyczajnie tylko początkowi pisarze z krytyką sporzą; starsi zaś, zwłaszcza gdy żadne postronne względy na zdanie krytyki nie wpływają, sami krytyce prawa stanowią, Kraszewski dopiero po napisaniu setki tomów tę nieodzowną ospę literacką przebywa. Lecz w tak przewrotnym stanie rzeczy, cała jego walka z krytyką przewrotnym idzie trybem. Nie krytyka nastaje na pana Kraszewskiego, lecy pan Kraszewski na krytykę. Od niejakiego czasu różne literackie rozprawki Kraszewskiego, publiczne listy do przyjacioł, przedmowy do nowych powieści zalewają się łzami żalu na krytykę, krytykę jednostronną, krytykę ślepą, krytykę żadną. Przyznajem słuszność panu Kraszewskiemu. Nie mamy niestety doskonałej krytyki. Dotychczasowa istotnie zbyt porywcza, względna. W Warszawie potępiają czerepowym sądem co w Wilnie wyszło, w Wilnie i Petersburgu osłaniają sobie głowę kapturem i krzyczą *rakka!* na literackie kacerstwa zachodniej Polski; w Poznaniu zaś jednym terorystycznym zamachem detronizują całą od wieków czczoną literaturę. Tak, nie mamy zimnej, rozważnej krytyki, lecz zkądże to? Oto ponieważ cała nasza obecna literatura jest raczej twórczą niżli krytyczną. Nie chełpimy się tem bynajmniej. Krytyka jesto żołądek literatury, a póki żołądek słaby, strawność niepewna, póty i życie mdłe, życie dziecka. Toż i twórczość jest bez krytyczności, bez samo wiedzy, podobnymże pierwotnym, dziecinnym stanem — czyli niezupełną jeszcze, bez charakteru; ztąd wzajemne skargi, krytyki na brak dojrzałego charakteru tworów literackich, a tworców literackich na excentryczną krytykę. Zarówna więc pono wina, a skoro sama krytyka chętnie przyznaje, że cały jej postęp tylko postępem twórczej literatury jest zawarunkowanym, tedy niech przedewszystkiem taż twórcza literatura postępuje, a i krytyka dojrzalej się rozwinie. Jak zaś jedna na drugą oddziaływa, tak też w istocie obie, lubo śród ciągłych poswarków i nieporozumień, widocznie w ostatnich czasach postąpiły, a wymieniona w napisie powieść pana Kr. najlepszym tego dowodem. Oddawna zarzucała krytyka powieściom Kraszewskiego brak celu, pan Kraszewski bolał i narzekał na krytykę; lecz w ostatnich swoich powieściach starał się mieć cel wyraźny. Krytyka jest mu za to wielce obowiązana, i liczy przeto „Ostapa Bondarczuka“ do najpiękniejszych jego powieści; lecz to przyznanie mu celu nie uwalnia jej od obowiązku roztrząśnienia, z jakim skutkiem pan Kr. celu dochodzi.

Ostap Bondarczuk jestto sierota chłopska, chowająca się w czasie wyprawy moskiewskiej w r. 1812 przy dworze pewnego grafa Wołyńskiego, spustoszonym przez wojska napoleońskie. Wracając po wojnie do domu graf odzyskuje za przypadkową pomocą sierotki skarb sprzeniewierzony i z wdzięczności za to zajmuje się losem Ostapka, który wreszcie z synowcem grafa, młodym hrabią Arturem, do Berlina na edukacią wyjeżdża. Tam w miarę postępu w oświacie i ogładzie europejskiej zawiązuje się szczera przyjaźń pomiędzy młodymi towarzyszami, i jako rówiennicy sercem i ukształceniem wracają do dom. Wszak tu wcale inny świat ich otacza. Stary graf obchodzi się z Ostapem jak z swym poddanym i dopiero po najprzykrzejszych zajściach odstępuje go Arturowi. Jako zaś jedna ostateczność drugą wywołuje, tak córka grafa, Misia, dawniej narzeczona Artura, kłoni się sercem, na przekor ojcu, ku powabnemu dla swej osobliwości zjawisku chłopa we fraku, z manierami salonowemi w układzie, a raną socialną w sercu. Ostap między niebem a piekłem zawieszony, po kilkuletniej walce z tem położeniem, które go wnet z domu w świat wygania, wnet z świata nazad do domu i Misi wraca, dopuszcza wreszcie do tego, że Misia z niewygasłą dlań miłością Arturowi rękę oddaje, a on sam, pokonany tą walką, zrzuca z siebie przywdziany wychowaniem strój i obyczaj, i jako wieśniak odzieżą i trybem życia, zdala od świata w samotnym osiada futorze.

Zawarował się wprawdzie autor przeciw krytyce, twierdząc, że to dopiero „pierwszy ustęp z życia Osta-

pa" i każąc przeto wstrzymać się z sądem do ogłoszenia całości. Atoli pominąwszy, że podobne przyrzeczenia bywają zwykle wybiegami autorskiemi, powinna nadto każda cząstka pewnej organicznej całości, zwłaszcza osobno ogłaszana, swoją własną mieć całość, i według tej cząstkowej całości być ocenianą. Jakoż i ten nasz fragment powieściowy ma wyraźnie zaokrągloną całość, ma cel wyraźny, lecz cóż za cel, cóż za całość! Oto chyba cel okazania, że wszelka oświata niepotrzebna, jeśli ona człowieka nazad do stanu natury wiedzie. Gdyby autor chciał był okazać, że f a ł s z y w a oświata, to jest pozorne przekształcenie ciała nie zaś duszy, jest podobnie niepotrzebnem, szkodliwem, bylibyśmy chętnie na jego zdanie przystali; lecz Ostapek ukształcił duszę, Ostapkowi chciał autor dać szlachetny, męski charakter, a to całe ukształcenie duszy, tę szlachetność, ten charakter nie stać na tyle wnętrznej wartości, aby zachować spokojny, pogodny umysł w obec narowistego grafa, nie ginąć od jednego postrzału pięknych oczu hrabianki? Takowe przedstawienie walki społecznej, takowe zbytne usrożenie jej wroga jest najniedorzeczniejszym pomysłem, jaki dobre serce z słabą głową spłodzić są w stanie. W ten sposób zamiast ułatwienia tej walki, przedstawia ją autor daleko straszniejszą niż ona jest w istocie — w ten sposób zakłada autor wprawdzie cel swej powieści, lecz wcale go nie osięga. Że jednak założył sobie cel, że pokusił się o skreślenie przynajmniej jednego ustępu tej wielkiej fermentacii społecznej, mamy mu za wielką zasługę, i postęp w tem widzimy. Niedostateczne zaś dopięcie celu tłumaczymy radzi początkowością zawodu. Wszelkie początki bywają powierzchowne, a pan Kraszewski posiada szczególny dar powierzchowności. Powierzchownie wymierzył sobie ccl, a w gruncie oddalił się od niego. Powierzchownie też kreśli wszystkie swe charaktery, to jest: charaktery bywają w ogólności prawdziwe, w szczegółach niekiedy trafnie odmalowane, lecz z wielu różnych stron i barw, jakiemi w rzeczywistości każdy charakter według natury ludzkiej się mieni, uwydatnia pan Kr. tak jednostronnie tylko te, które do jego szczególnych względów służą, że całe postacie np. postać Ostapka lub grafa, nie żywemi, różnostronnemi istotami ludzkiemi, lecz tylko nadętemi myślą autora a drucianą maszynerią powieści poruszanemi łątkami się wydają. Co tak dalece się stwierdza, że osoby, które autor mniej miał na celu, jak Misia i Alfred, wielce na tem niby zaniedbaniu zyskną, są najpiękniejszemi, najnaturalniejszemi figurami powieści. Wszakże i te postacie, mając nam wprost głębią swojej duszy odsłonić, mając w rozmowie się wywnętrzyć, rażą płaskością, powierzchownością swego obrazu, a tak ciekawe np. rozmowy Misi z Ostapem są wzorem trywialności, „Pozwól mi pani pożegnać się.« — „Pan odjeżdżesz?, — „Muszę, jadę.« — „Dokąd? — „Sam nie wiem. Pozostać tu nie mogę." — „Ja nie widzę przyczyny.« — „Alfred sam radzi mi wyjazd.« — „Jedziesz pan; nie zapominajże o nas." — „Nigdy!» Dwie łzy zakręciły się w oczach Michaliny...

Z drugiej strony należy przyznać, że w skreśleniu przedmiotów, których całą istotą jest ich powierzchnia, w opisach miejsc i grup, w obrazach życia zewnętrznego, jak np. w opisie spustoszonego po wojnie dworu i powrotu grafa z rodziną, w szkicach pomoru na wsi, poznajem z radością rękę mistrza. W ogólności, tak w tej jako i w drugiej spółcześnie wydanej powieści daje się widzić daleko pilniejsze niż w dotychczasowych powieściach opracowanie, i poważna, jakkolwiek niezupełnie osiągniona inteneia. To wróży nam o przyszłości nietyle samegoż autora, który już zasłużoną zjednał sobie wziętość i sławę, ile całego naszego powieściarstwa, którego on tak potężną jest dźwignią. Obyż dalszy ciąg powieści o losach Ostapa Bondarczuka zatarł nieporozumienie, jakie niniejsza część pierwsza między nami i autorem wzbudziła, i przekonał nas, że pan Kraszewski nietylko za potrąceniem krytyki iść umie, ale owszem samą krytykę naprzód potrącić zdoła.

Sz.

Wiadomość o powieściarce francuskiej pani George Sand.

przez

Henryka Sucheckiego.

W czasooiśmie beletryce poświęconem, właściwe umieszczenie znajść może wiadomość o najsławniejszej autorce tegoczesnej francuskiej, piszącej pod przybranem nazwiskiem G e o r g e S a n d. Jestto powieściarka, której obfite płody umysłowe od lat kilkunastu, nietylko po całej Francii, ale też i po tych krążą krainach, gdzie francuska baletryka, znaczny miewać zwykła odbyt. W znakomitych przeto domach Anglii, Niemiec, Włoch, Polski i Rosii, istotną potrzebą stają się jej dzieła po salonowych szczególnie ksiąg zbiorach. Z osobliwem zaś zamiłowaniem i zapałem pisma pani George Sand czyta młodzież i kobieta, którym ona do głowy i serca znamienicie przemawia. Lecz nawet ludzie uczeni, wyższego nad nią umysłowego stanowiska lub wytrawniejszego przekonania rozkoszują w kwiatach jej uczuć, w śmiałości jej pomysłów. Nie będzie to zatem od rzeczy, gdy z wiadomością o pomienionej pisarce połączy się literacki dzieł jej osąd.

Zawód pisarski pani George Sand podzielić można

na okresów cztery W pierwszym okresie miota nią namiętność, mianowicie miłość gwałtowna A gdy tej pierwiastkiem i karmią jest złudne przez pryzmowatą oka soczewkę widzenie pewnych zacności i doskonałości w upatrzonej osobie płci drugiej (tu mężczyzny); w okresie tedy wtórym odmawiać tejże płci musiała pani George Sand jawnych nawet, i ogólnie uznanych wyższości. Jakoż rzeczywiście drugiego jej okresu był cel napięty cywilizowania mężczyzny, albowiem pierwsze dwa jej stanowiska wręcz sobie odwrotne być musiały. Tamto było ostatecznem twierdzeniem, to przesadnem przeczeniem. Trzeci okres zlewa owe natężone dwie ostateczności w ochłodę dla jej duszy i w tyle spokoju, ile w amalgamie nie słyszysz żywiołów waśni. Pomysły towarzyskie, społeczeńskie i religijne są tu gry czynnikami. Jeżeli dawniej kobieta myślą i czuciem górnolotnie buja, jeżeli potem w poziomość zlatuje, tutaj musi byc filozofką, musi rozumować. Czwarty i ostatni okres będzie oczywiście stopniem doskonałości, jakiej osobistość pani George Sand dostąpić była mogła, w skutek bądź uzdolnienia swego z natury, bądź usposobienia pracą, oświatą, rozmyślaniem, kolejami szczęścia i przeciwności nabytego.

I. OKRES.

Dzieło usposobień twórczych i sił samodzielnych nie podlega sądowi pedantycznemu a choćby i uczonemu, ale ocenia się raczej z wrażeń, jakie na pojmujących wywiera. Albowiem stanąwszy przed posągiem, z pod dłuta Thorwaldsena lub przed obrazem z pod pędzla Rafaela wyszłym, zajęci blaskiem wystawy sztuki udatnej, nie krytykujemy, ale podziwiamy. A podobnie jak okres pierwszy pism pani George Sand namiętnością, miłością nacechowany jest, owoż i jeden z dawniejszych krytyków francusk ch wyrzekł, iż jej praca nazwaćby się mogła dziejami miłości kobiet w IX stóleciu, dziejami miłości t. j. wszelkich w miłostkach zachodzących umysłów czyli charakterów i przemian. Zdanie to dotyczy niejako pierwszego zawodu literackiego pani George Sand okresu, ciągnącego się od roku 1833 do 1842. W ciągu lat tych wyszło z pod rodzajnego jej pióra, pięćdziesiąt powieści i tyleż arcydzieł, które żyźnego jej ducha nietylko nie wyczerpały, ale owszem świeżą w nim potęgę wzbudziły. Co tam za szereg obrazów obaczysz w wielkiej podróży owej po świecie uczuć. A w tak smętnej i tak wesołej, w tak zmiennej i tak wiecznie jednostajnej krainie, co ją sercem ludzkiem nazywają, ileż tam nie napotkasz widokręgów rozwidnionych i szeroko otwartych!

Indiana pierwszem była ogniwem złotego dzieł jej łańcucha. Powieść ta, nieznaną ręką pośród polemik gwaru rzucona, żywe sprawiła w piśmiennictwie i świecie podziwienie. Największą ciekawością zdjęty każdy się we Francii zapytywał o prawdziwe nazwisko autora tej książki, w której skarga wdzięczny przyspiew znajduje. Białogłowy uderzającym rozbiorem swych uczuć i boleści głęboce rozrzewnione, nie zdołały dopatrzyć umysłowości płci swojej w męskim dramatu zakroju, mistrzowskiego pędzla godnym. Otoż po zapalnej krwi, po szlachetnych pomysłach w tej książce krążących, młodzież francuska poznawała tego lub owego z swej braci. W pierwszym tym utworze krytycy uczeni wytłumaczyć sobie nie mogli tyle doświadczenia, tej w pojęciach dojrzałości, tak silnego, płynnego a jędrnego wysłowienia, które zdradzało pisarza w grze zwrotów i wymowy pisemnej biegłego i doskonałego. Niemało i ta okoliczność przyczyniła się do niepewności w dojrzeniu prawdziwego autora, że przy śmiałości mowy i rzeźwej prostocie spostrzegano niezgrabność czasem młodego pisarza. Wnet jednak pękła zasłona tajemnicy przed ciekawością powszechną. Wkrótce wiedziano, że samozwańcem owym Georg Sand była kobieta młodziutka, pięknutka, czcigodna imieniem jak zacna sercem. Niegrzeczni wybadali także, iż w cierpieniach Indiany przeglądają autorki samej przygody. Już rzęsistość łez, jakie nad stronnicami Indiany płynęły, odbiera poniekąd odwagę rozbierać ją ściślej. W zakończeniu wzniosłem, jak symfonia Beetowena, mówi jedno czasopismo francuskie, pani Georg Sand wyniosła namiętność na wysoczyzny liryzmu, nie czujesz już ziemskiej pod sobą posady, nie potrzebujesz jej nawet. Znajdziesz tam niby urąganie z lekkości płci, słyszysz niby rozpaczliwe wołanie ognistej duszy, przerażonej próżnią, nierównością i niezupełnem na tej ziemicy wyrażeniem miłości

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

TEATR.

W przeszłym miesiącu donieśliśmy o wystąpieniu po raz pierwszy utalentowanego młodego Szczepańskiego. Drugi raz już na scenie nie pojawił się Dyrekcia troskliwa o dobro sceny postanowiła nie przyjmować go w poczet aktorów Dziś znowu donieść mamy o wystąpieniu pierwszem innego młodego człowieka, Dziedzickiego. pewni będąc, że choćby wszyscy zdolności jego do sceny uznali, dyrekcia postąpi z nim jak z poprzednim. Usuwanie artystów starszych a nieprzyjmomanie młodszych, stało się u nas systematem. Co z tego wyniknie, łatwo przewidzić. Już dziś skutki tego coraz smutniejsze widzimy.

Dziedzicki wystąpil w roli poety, w sztuce Fredra „Odludki i poeta." Więcej w tej roli szumu niż treści, więcej deklamacii niż działaria. Toteż i o talencie dramatycznym młodego debiutanta trudno z tej roli wnosić. Powiedzieć jedynie można, że ma głos dźwięczny, przyjemny, zdolny rozmaitych modulacij. Zbudowany jest na aktora dobrze; wzrostu miernego, który przydatniejszy na scenę niż wzrost słuszny. W deklamacii poznać można było znajomą szkołę, a według naszego zdania niebardzo trafną, podług której wszyscy występujacy u nas po raz pierwszy się kształcą. Długiego potem czasu potrzeba, aby się otrząść z tego przeszłowiecznego, nadętego sposobu deklamacii Niektórzy z dawniejszych aktorów dotąd go zachowali.

Wydawca TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.